



Kryminał z myszką

17

KALIBER

6,35

**PUŁKOWNIK REGINALD
PENTHAM NA TROPIE**

**T a d e u s z
K o s t e c k i**

Tadeusz KostECKI

KALIBER 6,35

Kryminał z myszką – Tom 17

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-46-5

Copyright © Jerzy Tadeusz Czaplicki

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

SPIS TREŚCI

- I. NA POLOWANIE...
 - II. DWAJ PREZESI POKREWNYCH TRUSTÓW
 - III. W ZADYMCE
 - IV. ZABIŁEM WŚCIEKŁEGO WILKA
 - V. MORDERSTWO
 - VI. KULA MAŁEGO KALIBRU
 - VII. REWOLWER KALIBRU 6,35
 - VIII. PUŁKOWNIK REGINALD PENTHAM WKRACZA NA WIDOWNIĘ
 - IX. KÓŁKA SIĘ ZAZĘBIAJĄ
 - X. PUŁKOWNIK PENTHAM ROZPOCZYNA AKCJĘ
 - XI. PIERWSZE POSUNIĘCIE PENTHAMA
 - XII. NIESAMOWITA NOC
 - XIII. LIST KTÓRY POWRÓCIŁ
 - XIV. IGŁA PATEFONOWA
 - XV. CZYSTA WODA
 - XVI. NIEZISZCZONA PRZEPOWIEDNIA INSPEKTORA MALLONE'A
 - XVII. PRASA W NIEŁASCE
 - XVIII. ID FECIT CUI PRODEST
 - XIX. CZARODZIEJSKI WINCHESTER
 - XX. YARDLEY PRACUJE W TERENIE
 - XXI. CZWARTY DZIEŃ
 - XXII. CZWARTA NOC
 - XXIII. ŚLAD KOMPLIKUJE SIĘ
 - XXIV. ZEPSUTY SAMOCHÓD
 - XXV. POWÓD DO ODROCZENIA WERDYKTU
 - XXVI. NIEWIADOME W RÓWNANIU PENTHAMA
 - XXVII. PISTOLET, Z KTÓREGO STRZELANO ZBYT DAWNO
 - XXVIII. REWELACYJNE ODKRYCIE
 - XXIX. BIEGLI
 - XXX. POSZUKIWANIA W TERENIE
 - XXXI. ZAWIESZENIE BRONI
 - XXXII. KOŁO ZAMYKA SIĘ
 - XXXIII. REWOLWER, Z KTÓREGO NIGDY NIE STRZELANO
 - XXXIV. NIEWZRUSZONY SIR DRAKE DOZNAJE WSTRZĄSU
 - XXXV. SPRAWIEDLIWOŚCI STAŁO SIĘ ZADOŚĆ
 - XXXVI. JUTRO POLOWANIE
 - XXXVII. POKŁOSIE YARDLEYA
- O AUTORZE

I. NA POLOWANIE...

Sir Percy Gordon, nie zwracając uwagi na zgromadzone w obszernym salonie Worceya towarzystwo, rozsiadł się wygodniej w miękkim fotelu klubowym, przysunąwszy go bliżej kominka, i niechętnie powrócił do rozmyślań o czekającym go polowaniu. Za oknami wirowały pojedyncze płatki śniegu. Na razie nie wyglądało to groźnie, ale zbadany poprzednio przez Gordona barometr zapowiadał z całą pewnością pogodę, która do polowania bynajmniej nie zachęcała. Kontrast pomiędzy przytulnym salonem z wazą ponczu stojącą na stoliku, a perspektywą wystawiania Bóg wie jak długo w śnieżnej zadymce był zbyt rażący. Nie łagodziła go też bynajmniej nadzieja upolowania jakiegoś mizernego zająca, nie stanowiąca w tych warunkach specjalnie ponętnej atrakcji. Pomysł tego całego polowania wydał się nagle Gordonowi całkowicie chybiony, jak zresztą wszystkie niemal pomysły gospodarza. Gdyby Worcey nie był starym przyjacielem i gdyby nie pewne wspólne interesy, które szczególnie ostatnio dyktowały konieczność podsycania tej przyjaźni, Gordon nie namyślałby się w ogóle nad wyborem decyzji.

Znowu zerknął w kierunku okna. Śnieg sypał coraz gęstszy, opadające płatki zaczynały się kłębić pod podmuchami wiatru. Nie, nie da robić z siebie wariata. Wykręci się nagłym atakiem podagry. Zresztą od czasu do czasu rzeczywiście łamało go coś w stawach.

Cienki dźwięk dzwonek zwrócił uwagę zebranych w salonie gości. Nadjeżdżał szereg sań, który zatrzymał się przed domem.

Sir Gordon ściągnął twarz grymasem powstrzymywanego bólu. Odpowiednio sformułowane zdania czekały na pojawienie się Worceya, który manewrując niezdarnie pomiędzy grupą zbierających się do wyjazdu gości, zbliżał się do przyjaciela. Stanął przy stoliku Gordona, spojrzął troskliwie na jego zmienioną bólem twarz i zapytał z niepokojem:

– Źle się czujesz?

– Hm... widzisz... ja... – zaczął Gordon. Worcey jednak nie dał się zbyć tak łatwo. Nie dając mu skończyć, zaczął mówić pospiesznie i z wyraźną troską w głosie:

– Bo jeżeli jesteś niedysponowany, musisz zostać w domu. Doniesiono mi właśnie, że w tej okolicy włóczy się kilka wściekłych wilków. Sprawa jest zbyt ryzykowna...

Cały misternie zbudowany plan Gordona runął nagle w gruzy. Troskliwość gospodarza miała jak zwykle posmak niedźwiedziej przysługi. Taki powód jak podagra to jeszcze ujdzie w najlepszym towarzystwie, ale narażenie się na opinię tchórza komponującego na poczekaniu ze strachu przed wilkami bajeczki o chorobie, było zbyt kompromitujące. Powstał ociężale z fotela. Nie było innego wyjścia.

– Głupstwo – mruknął – już przeszło...

Worcey złapał sir Gordona za rękaw.

– Naprawdę, posłuchaj mnie i zostań. Źle wyglądasz... Nie jesteśmy już tacy młodzi, a wściekły wilk to nie zabawka...

Jego tubalny szept dobiegał bez wątpienia do najdalszych zakątków rozległego salonu.

Sir Gordon machnął ręką, przecinając dalsze słowa.

– Daj spokój. Jadę...

– No... jeżeli naprawdę tak się dobrze czujesz – Worcey wciąż nie puszczał rękawa Gordona – wiesz, za sąsiadów wyznaczyłem ci sir Brambleya i Woodsona. Dobrze, co?

Minę miał przy tych słowach, jakby był dumny z własnego pomysłu i oczekiwał uznania.

To, że twarz sir Gordona pozostała niewzruszona, zawdzięczać należy jedynie jego niezwykłemu opanowaniu. Bo nie było chyba w całym Zjednoczonym Królestwie drugiego człowieka, którego by nienawdził z równą siłą jak właśnie Woodsona. Dla nikogo nie było to zresztą tajemnicą.

Ale od Worceya nie należało wymagać zbyt wiele. Posunięcia przypominające ruchy słonia w składzie porcelany stanowiły jego cechą charakterystyczną.

– Doskonale – zaaprobował sir Gordon tonem najbardziej niefrasobliwym – przy waszej skłonności ostrzeliwania wszystkich czterech stron świata nie zaszkodzi mieć w pobliżu słynnego lekarza.

Miał na myśli radcę królewskiego Brambleya, bo Woodson nie był lekarzem.

II. DWAJ PREZESI POKREWNYCH TRUSTÓW

W sankach było ciasno. Sir Gordon wetknął marznący nos w wysoko podniesiony kołnierz futra. Na szczęście nie potrzebował wysilać się na rozmowę. Woodson był wyjątkowym gadułą. Przez całą drogę usta mu się nie zamykały ani na chwilę. Z wyrazu twarzy sir Brambleya widać było, że z trudem tłumi ziewanie. Zachowanie się sir Gordona niczym nie zdradzało znudzenia. Chociaż mało było ludzi, którzy potrafiliby przeniknąć jego myśli, nie miał jednak pewności, czy właśnie Woodson nie należy do tych nielicznych. Dlatego też raz po raz przesłaniał oczy powiekami. Gęsto lecące śnieżne płaty stanowiły do tego doskonały pretekst. A mózg pracował tymczasem ze sprawnością maszyny, segregując fakty. Nadchodził okres, w którym każdy najdrobniejszy szczegół mógł mieć decydujące znaczenie.

Woodson. Korzenie całej sprawy tkwiły w dawnych już czasach. Obydwaj byli młodzi. Obydwaj starali się o rękę Lucy. Wybrała sir Gordona, który zresztą nie posiadał wówczas jeszcze tytułu. Woodson odszedł. Wydawało się, że przebolewał i zapomniał. Było jednak inaczej. Czekał w ukryciu na odpowiednią sposobność. Przy którejś z ostrzejszych gier giełdowych wypłynął niespodziewanie po przeciwnej stronie, usiłując niedwuznacznie odegrać w stosunku do Gordona rolę hieny. Nie udało mu się wtedy. Był jeszcze za słaby i przecenił swe siły. Odszedł raz jeszcze. Odszedł, ale nie zrezygnował, walka podjazdowa trwała. Od pewnego czasu stanął na pewniejszych nogach. Nauczył się występować w odpowiednim momencie. Kilka transakcji Stalowego Trustu rozchwiało się w ostatniej chwili. Sir Gordon miał dobry wywiad. Wszystkie nici prowadziły do jednego: Trust Niklu. Trust Niklu to właśnie Woodson.

Sanki mknęły wśród tumanów białych strzępków.

Woodson kończył którąś z rzędu anegdotę. Sir Brambley miał minę, jakby go bolały wszystkie zęby.

– Kochany sir Percy zdaje się zasnął – zawołał nagle Woodson, uderzając ośnieżoną rękawicą po kolanie sąsiada – a może rozmyśla o Tampico?

Twarz sir Gordona pozostała nieruchoma. Oczy nie straciły ani trochę z podobieństwa do niebieskich brył lodu, chociaż sprawa z kopalnią w Tampico należała właśnie do celnych strzałów przeciwnika. Trafienie to kosztowało go ciężki grosz i komplikowało wiele innych spraw.

– Cóż – głos Gordona rozległ się zza futrzanego kołnierza bez żadnej intonacji – w życiu zdarza się rozmaicie. Ale pewne przysłowie wcale nie jest takie głupie, jakby się to komuś zdawało.

Woodson rzucił nań spojrzenie z ukosa.

– Jakie przysłowie?

Sir Gordon niedbałym ruchem strzepnął śnieg narosły na kołnierzu.

– *Rira bien qui rira la dernier*. [ten się śmieje, kto się śmieje ostatni, fr.]

Woodson zaśmiał się zgrzytliwie.

– Święte słowa – zatarł rękawice z ukontentowaniem – I wierz mi, kochany Percy, że ten ostatni śmiech będzie należał do wyjątkowo przyjemnych. Nie dla wszystkich niestety –

pokiwał głową z udanym ubolewaniem i zaczął mówić o czym innym. Ale w uszach sir Gordona wciąż dźwięczało echo jego śmiechu. Ten śmiech potwierdzał raporty o pewnych zamierzonych przez przeciwnika posunięciach.

Woodson opowiadał rozwlekłe jakąś starą jak świat anegdotę. Sir Brambley tarł ośnieżoną rękawicą zmarznięty czubek nosa, wyraźnie już nie słuchając.

Na horyzoncie zarysowała się ciemna linia odległego lasu. Mózg sir Gordona pracował bez przerwy. Sytuacja gmatwała się coraz bardziej, wymagała czujności i decyzji.

III. W ZADYMCE

Białe płatki śniegu wirowały coraz gęściej w podmuchach potężniejszego wiatru, stwarzając ruchliwą, coraz mniej przeźroczystą, wilgotną zasłonę. Zimno zaczęło się wciskać pod futra, wywołując krótkie urywane dreszcze.

Sir Gordon zacisnął w gniewnym grymasie siniejące wargi.

Do diabła z polowaniem w taką pogodę! – myślał – Kochany, stary Worcey... Świat stanowczo niewiele by stracił bez niego.

Najmniejsze oznaki nie zdradzały zbliżania się nagonki. Kto wie, jak długo trzeba będzie jeszcze sterczeć w śnieżnej zadymce.

Brr... zimno.

Z tęsknotą pomyślał o zacisznym salonie. Dezercja ze stanowiska na polowaniu była jednak nie do pomyslenia. Z rezygnacją zaciskał szczelniej futrzany kołnierz.

Minuty wydłużały się w nieskończoność. Rzucił ponure spojrzenie w kierunku szarzejącego w oddali krzaka.

Stanowisko Woodsona.

Ostatni śmiech będzie przyjemny, ale nie dla wszystkich – przeżuwał w myśli. – Tak. Jeżeli Woodson doprowadzi do skutku swój zamiar, dla sir Gordona nie będzie okazji do śmiechu. A na to tym razem wygląda, że Woodson zdoła wreszcie osiągnąć upragniony cel.

A gdyby tak... Nie – wzruszył ramionami – kombinacja nie miała żadnych szans. Trzeba wymyślić coś innego. I to zaraz. Natychmiast. Woodson nie będzie zwlekał, bo w żadnym wypadku nie odsłoniłby przyłbicy, jak to uczynił przed kilkunastu minutami w sankach. Musiał już mieć w ręku wszystkie atuty.

A gdyby jednak? – medytował chwilę – Cóż! Właściwie nie czas na skrupuły. Trzeba z tym skończyć za wszelką cenę.

Twarz sir Gordona krzepła powoli w zaciętej determinacji.

– Albo ja, albo on – mruknął półgłosem.

W tej sytuacji, jaka się kształtowała, trzeciego rozwiązania nie było.

Odwrócił się powoli.

Zmarznięte palce zaczęły się mocować z oporną rękawicą. Szczęki zwały się w twardą linię.

Trudno!

Śnieżna burza przechodziła w białe szaleństwo.

IV. ZABIŁEM WŚCIEKŁEGO WILKA

Leśniczy wysunął się niespodzianie z zarośli. Minę miał strapioną. Polowanie zdecydowanie się nie udało. Parę nędznych zajęcy i...

– O – nagle przystanął w pół kroku, zdumiony wzrok utkwiał w rewolwerze trzymany w ręku przez sir Gordona. Obok leżał porzucony sztucer.

– Jakiś wypadek, sir? – zapytał troskliwie.
 Sir Gordon robił wrażenie zaskoczonego. Był wyraźnie zmieszany i speszony.
 Rewolwer na polowaniu? Szok. Chyba nie mniejszy niż na przykład ostrzelanie lisa z karabinu maszynowego.
 Gwałtownym ruchem wsunął pistolet do kieszeni futra.
 – Atakował mnie wściekły wilk... A że sztucer się zaciął...
 Twarz leśniczego pozostała nieruchoma. Wprawdzie nikt z nagonki nie meldował o żadnym wilku, ale...
 Zerknął ukradkiem na płaszczyznę śnieżnego puchu wokół stanowiska sir Gordona. Żadnych śladów. Nie wyciągał jednak wniosków. Co go to wszystko razem mogło obchodzić? Wielcy panowie miewają niekiedy bardzo dziwaczne fantazje.
 W tej samej chwili zatrzeszczały łamane gałęzie. Worcey sapał jak lokomotywa, patrząc z wyrzutem na krzaki, które mu nie chciały ustępować z drogi.
 – I jak poszło, Percy?
 Rybie oczy natknęły się na tonący w śniegu sztucer. Na twarzy pojawił się wyraz bezbrzeżnego zdumienia. Broń w śniegu?
 – Co... – zająknął się – ach tak. Pewno dotknięcie zimnej stali oparzyło ci skórę na rękę? Na takim mrozie nie należy ściągać niepotrzebnie rękawic.
 Sir Gordon wzruszył niecierpliwie ramionami.
 – Nic podobnego – zaprotestował ze źle ukrywaną irytacją. – Po prostu sztucer się zaciął.
 Worcey nachmurzył się.
 – Ooo... bardzo mi przykro. – Spojrzał z wyrzutem na leśniczego. – Słyszysz pan? Sztucer sir Gordona się zaciął. Jak pan sprawdzał broń przed polowaniem?
 – Sprawdzałem osobiście każdą sztukę i... nie wiem, co się mogło stać...
 – To bardzo nieprzyjemna historia – martwił się głośno Worcey. – Musimy sprawdzić, co się stało... nachylił z trudem swoją pękatą sylwetkę nad porzuconą bronią – a do czego chciałeś strzelać? – rzucił przez ramię, nie odwracając głowy.
 – Ooo... – sir Gordon nagle zakrztusił się gwałtownym kaszlem. Gdy odzyskał wreszcie zdolność mowy, zaczął wyjaśniać, że do wilka – ...wściekły wilk szedł prosto na mnie. Ponieważ sztucer okazał się nie do użytku... – zawahał się króciutką chwilę – musiałem sięgnąć po rewolwer. No i zastrzeliłem go. – Roześmiał się, śmiech jednak brzmiał zupełnie sztucznie. – Trochę to nieprzepisowy sposób, ale w obronie życia...
 Worcey podniósł się, trzymając ośnieżoną strzelbę w rękach.
 – Zastrzeliłeś? – powtórzył. – A gdzie się podział?
 – W każdym razie musiałem go postrzelić. Pudło wykluczone. Po strzale się zwinął. Pewno gdzieś tam leży. – Wskazał niedbałym ruchem na czerniejącą opodal ścianę gęstych zarośli.
 Był coraz bardziej zirytowany. Polowanie z rewolwerem! Będą mieli temat do anegdotek we wszystkich klubach Zjednoczonego Królestwa.
 Ostro skrzypiał pod podeszwami zmarznięty śnieg. Myśliwi zwołani sygnałem rogu oznajmiającego koniec polowania ściągali ze swoich stanowisk. Ten i ów zatrzymywał się przy gospodarzu.
 Drobny kroczył przymaszerował sir Brambley.
 Worcey, nie bacząc na mróz, ściągnął rękawice i manipulował przy zamku podniesionego sztucera. Leśniczy czekał z napięciem na wynik badania.
 – To dziwne – odezwał się wreszcie Worcey – mechanizm działa bez zarzutu.
 Sir Brambley zapytał ze zdumieniem:
 – A dlaczego miałyby nie działać?
 Worcey pokiwał niezdecydowanie głową.

– Właśnie Percy mówi, że sztucer się zaciął. Do tego w potrzebie. Więc... – Umilkł.
Dalsze słowa przerwał podniecony okrzyk dobiegający od pobliskiego krzaku.
– Mister Woodson, co panu?
Przy krzaku zapanowało poruszenie.
Sir Brambley wyduł wargi:
– Jakaś nowa historia. Zwierzyny nie ma, za to jeżeli chodzi o sensacje...
– Halo! Na pomoc! Lekarza!
Okrzyk ten poderwał nieruchomą grupkę z miejsca.
Ruszyli pośpiesznie w kierunku krzaków, gdzie już czerniało kilka postaci pochylonych nad czymś niewidocznym.
– Lekarza!!!
Sir Brambley dreptał nerwowymi kroczkami posapując.
Sir Gordon włókł się na samym końcu. Mocno ściągnięte brwi wskazywały na głęboką zadumę.

V. MORDERSTWO

Sir Brambley podniósł się powoli z klęczek, otrzepując śnieg ze spodni i futra.
– Niestety – wycierał starannie ręce w podaną przez kogoś chustkę – tu już żadna ludzka pomoc nie jest potrzebna.
Panujący w stłoczonej grupie myśliwych gwar podniecenia ucichł. Zapadła ponura cisza.
– Wypadek z bronią? – zapytał czyjś nieśmiały szept.
Radca królewski zaprzeczył ruchem głowy.
– Niestety, muszę panom zakomunikować, że... – zawahał się, przy czym wzrok jego utkwił w nieregularnych konturach rdzawej plamy na śniegu u boku nieruchomej postaci Woodsona – że – podjął po chwili – wykluczone jest, by kula mogła paść z broni zabitego.
Strzał nastąpił z odległości nie dopuszczającej tego rodzaju przypuszczeń.
– Zabójstwo?! – spytało naraz kilka wzburzonych głosów.
Sir Brambley z uwagą wciągał rękawice na poczerwieniałe od mrozu ręce.
– Pewne okoliczności świadczą, że raczej tak – odpowiedział, odmierzając każde słowo.
– Przepraszam – niepozorny jegomość, przypominający kościanego dziadka, przecisnął się przez stłoczoną gęsto grupę myśliwych. Był to sędzia Thompson, równie zabawny w wyglądzie, co surowy w ferowaniu wyroków.
– Przepraszam – powtórzył, podchodząc do Brambleya – więc sądzi pan, że to jednak zabójstwo?
Radca królewski wsunął ręce głęboko w kieszenie.
– Tak – potwierdził – wszystko na to wskazuje. Oczywiście, jest to moja całkiem prywatna opinia.
Sędzia Thompson wyprostował niepozorną figurkę.
– W każdym razie uważam, panowie, że naszym obowiązkiem jest uczynić wszystko, co w naszej mocy, by ułatwić zadanie władz w wykryciu... hm... zabójcy – nosowy, z początku nieco drżący głos krzepł niemal z każdym słowem, stawał się opanowany i twardy.
Do stojących bezpośrednio przy zwłokach przyłączył się Worcey. Uznał widocznie, że powaga chwili wymaga, by jako gospodarz zabrał głos.
– Panowie! – sapnął – to, co powiedział przed chwilą sędzia Thompson, jest chyba samo przez się zrozumiałe. Skoro na jednym spośród nas zostało popełnione morderstwo...
Sędzia podniósł ostrzegawczo rękę:
– Nie nazwałem tego morderstwem – zastrzegł się.

– Jak to? – spojrzał na niego zaskoczony Worcey – przecież...

– Mówiliśmy tylko o zabójstwie. Brak podstaw, by zakwalifikować to jako wypadek. Worcey strzepnął rękawicą:

– Przepraszam. Nie znam się na subtelnosciach prawniczych. Dość, że jeden z nas został zastrzelony. Jest rzeczą oczywistą, że sir Thompson, jako sędzia, najlepiej wie, co należy w takich wypadkach czynić, by wszystko było w porządku. Proszę nami dysponować. Co mamy robić?

– Dziękuję panom – sędzia Thompson w zamyśleniu przesunął wierzchem rękawicy po gładko ogolonym podbródku – otóż przede wszystkim uważam za konieczne, byśmy wszyscy bez wyjątku pozostali na miejscu do czasu przybycia przedstawiciela miejscowej policji. Poza tym dobrze by było, by nikt nie rozstawał się z bronią, którą miał w czasie polowania.

– Słusznie – Worcey pośpiesznie wyciągnął trzymany dotychczas sztucer w kierunku Gordona – bierz!

Zatopiony w głębokiej zadumie Gordon nie reagował.

– Bierz – wtykał mu niemal do rąk karabinek.

Gordon drgnął.

– Co? – zamrugał oczyma, patrząc bezmyślnie na podany sztucer – o co chodzi?

Nagła śmierć Woodsona wymagała natychmiastowego rozplanowania pewnych posunięć na najbliższy okres czasu. Najmniejsze niedociągnięcie mogło grozić katastrofą.

– Masz wziąć swoją broń – wyjaśnił Worcey. W głosie jego brzmiało ukrywane zniecierpliwienie.

– Po co? Przecież polowanie skończone. Nie mam teraz co robić z tą przeklętą flintą.

– Nic, musisz ją tylko trzymać aż do przybycia policji. Sędzia Thompson zarządził.

Gordon wziął z ociąganiem winchester.

– Przecież nie strzelałem z niego ani razu – mruknął niezdecydowanie.

Worcey nachylił się, przytykając niemal usta do ucha sir Gordona.

– Tym lepiej, – szepnął – tym lepiej... dla ciebie. Bo przecież ktoś musiał jednak wystrzelić, skoro Woodsona trafiła kula. A tyś stał najbliżej jego stanowiska, więc...

Na twarzy sir Gordona nie drgnął żaden muskuł. Mogłoby się wydawać, że nie rozumiał znaczenia szeptanych mu słów.

Ręka z karabinkiem opadła niedbale. Znowu pograżył się w zadumie.

Worcey miał rację. Ktoś musiał wystrzelić kulę, która pozbawiła życia Woodsona. I człowiek, któremu najbardziej mogło zależeć na śmierci zastrzelonego, znajdował się w chwili morderstwa najbliżej ofiary. Człowiekiem tym był właśnie sir Gordon. Ale Worcey nie wiedział jeszcze wszystkiego.

Nie znał pewnej okoliczności, która zawisała nad głową sir Gordona jak miecz Damoklesa. Tylko jakiś cud mógł rozstrzygnąć rzecz na korzyść Gordona. Ale sir Gordon nie wierzył w cuda. I dlatego właśnie wyraz jego twarzy stawał się z każdą chwilą coraz bardziej beztrojski.

Worcey obserwował go przez chwilę, jakby oczekując na coś, co powinno nastąpić, a jednak nie następowało.

Wreszcie zrezygnował.

Odwrociwszy się, podszedł ciężko powolnymi krokami ku sędziemu.

– Milordzie – głos jego zabrzmiał twardo – chciałem panu zakomunikować, że...

Sędzia spojrzał na niego uważnie. W stłoczonej grupie myśliwych zapanowało nagłe poruszenie. Użycie przez Worceya urzędowego tytułu Thompsona zapowiadało coś niezwykłego.

Kilkanaście par oczu skupiło się w oczekiwaniu na wargach gospodarza. Błyskawiczne spojrzenie Worceya przemknęło po twarzy Gordona. Tylko te jedne rysy pozostały obojętne. Milczenie zaczęło się przeciągać.

Worcey wciągnął ze świstem powietrze.

– Słucham – sędzia zmarszczył krzaczaste brwi. – Co mi pan chciał powiedzieć?

Nikt nie mógłby twierdzić, że sir Gordon słyszy choćby jedno słowo z odbywającej się w odległości niespełna dwóch jardów rozmowy. A przecież wszystkie jego zmysły zestrzeliły się w słuch. Czyżby miał nadejść już ten ostateczny moment?

– Milordzie – powtórzył Worcey – głos jego jednak brzmiał teraz już zupełnie inaczej – chciałem panu zakomunikować, że jest piekielnie zimno. Czy uważa pan, że zaszkodziłoby to śledztwu, gdybyśmy w oczekiwaniu na dalszy rozwój wypadków łyknęli dla poratowania zdrowia po parę kropel czegoś rozgrzewającego?

Sędzia Thompson zamrugał powiekami. Widać było, że jest zupełnie zaskoczony.

– Rozgrzewającego? – powtórzył z nie ukrywanym zdumieniem.

– No, tak – potwierdził z najnaturalniejszym uśmiechem Worcey – przygotowaliśmy w termosach pewną ilość gorącego krupniku, więc...

Sędzia wreszcie zrozumiał. Przełknął ślinę. Zimno rzeczywiście przenikało do szpiku kości. Dopiero teraz na skutek kuszącej propozycji zdał sobie sprawę, jak bardzo przemarzł.

– Ale nic podobnego – zaprzeczył pośpiesznie – nie zaszkodzi w najmniejszym stopniu. Na rozkaz Worceya służba zaczęła wyciągać z wyściełanych wojlukiem pudeł, pękate termosy.

Wśród myśliwych zapanowało nagle odprężenie.

Wystąpienie Worceya w takiej chwili miało oczywiście pewien posmak dziwactwa. Ale Worcey był tylko Worceyem.

Sir Gordon przyjął z pobłażliwym uśmiechem kubek parującego alkoholu. Nikt nie słyszał westchnienia ulgi, które stłumił całym wysiłkiem woli.

Decydujący moment jeszcze nie nadszedł.

A kto był w stanie przewidzieć, jaki niespodziewany ratunek mogły przynieść nadciągające chwile?

Mózg pracował bez przerwy. Przybył jeszcze jeden temat do przemyślenia.

Jaką rolę odgrywał w tym wszystkim niedźwiedziowaty Worcey?

I na czym polegała jego gra?

VI. KULA MAŁEGO KALIBRU

Sierżant White początkowo wykazywał nadzwyczajną ruchliwość. Automatyczny ołówek śmigał w jego palcach. Nieco nadęta minia świadczyła o przejściu się rolą. Jak myśliwski ogar uganiał się wokół miejsca, gdzie leżał zastrzelony. Chciał wszystko wiedzieć. Nie ma błahych szczegółów. Każdy może się okazać ważny dla śledztwa.

Zabójstwo stanowiło nie byle jaką gratkę. Niespotykana okazja w tym zapadłym kącie, gdzie ludzie są zbyt tępi, by popełniać przyzwoite przestępstwa, mogące dać policjantowi sposobność do odznaczenia się i awansu.

Zwrotny moment nastąpił dopiero przy spisywaniu personaliów obecnych.

Bagatela! Jeden w drugiego same figury! Radca królewski? Sędzia Thompson? Słyszał już coś niecoś o tym zrzędzie. Ołówek pracował coraz wolniej. Opięta w podniszczony mundur korpulentna sylwetka sierżanta sztywniała z każdą chwilą. Osoba zamordowanego zwiększała jeszcze doniosłość wypadku. Prezes Niklowego Trustu!

W końcu osowiał do reszty. Poczł się wyraźnie nieswojo.

Jak pech, to pech!

Ani mowy, by śledztwo pozostało w rękach prowincjonalnej policji. Scotland Yard nadjedzie naturalnie z całą paradą i wszystko, co się zrobiło przed nimi, zostanie wykpięte bez reszty. Dżentelmeni ze stolicy nie lubią dzielić się sukcesami. Dla sierżanta nie

zapowiadało się z tej całej sprawy nic ciekawego. Raczej wręcz przeciwnie. Jeden nieostrożny krok i gotowa awantura. Wielcy panowie mają nader delikatną skórkę.

Relacji sir Brambleya wysłuchał niemal w postawie służbowej. Wiedział oczywiście, kim jest ten starszy jegomość o stalowych oczach. Wystarczyło nazwisko. W szkole policyjnej nieraz powoływano się na opinię radcy królewskiego w bardziej skomplikowanych wypadkach morderstw, stanowiących tematy wykładów.

Nosowy, chłodny głos referował rzeczowo wynik oględzin zwłok.

– Śmierć nastąpiła prawdopodobnie wskutek rozerwania lewej komory serca. Strzał oddano z odległości kilku, do kilkunastu jardów. Otwór wlotowy pocisku po lewej stronie klatki piersiowej. Pocisk po przebicciu serca utkwiał w mięśniach lub w kręgosłupie...

Wzrok sierżanta przesunął się po licznej grupie myśliwych. Każdy z nich trzymał w rękach sztucer. Na oko wyglądało, że większość karabinków jest tego samego kalibru. Strzelano, na pewno nie żałując amunicji, jak zawsze na tego rodzaju polowaniach dla przyjemności. Zrobiło mu się jeszcze bardziej nieswojo. Jak tu z tej przeklętej gromady luf wyłowić właśnie tę jedną, której właściciel trafił nie tam, gdzie celował? W rezultacie może przyjazd panów ze Scotland Yardu nie będzie takim nieszczęściem, jak to początkowo wyglądało?... W każdym razie kłopot spadnie na ich głowy. Tymczasem nie mógł czekać z założonymi rękami. Należało doraźnie sprecyzować pewne okoliczności. Zamyślił się, rozważając w duchu każde słowo sir Brambleya.

– Pocisk pochodzi oczywiście ze sztucera?

Radca królewski wyraźnie się zawahał.

– Hm – odchrząknął – nie mogę odpowiedzieć na to pytanie do czasu wydobywania kuli.

White nadstawił uszu. Pytanie rzucił raczej dla formalności. Uderzył go dziwny ton słów lekarza, który patrząc na niego, zdawał się czegoś oczekiwać.

– W takim razie... – przestąpił z nogi na nogę, – czy nie byłoby możliwe wydobywanie kuli tutaj na miejscu?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI